

Krzysztof Łoziński
Ciężkie boje w Dolinie Ciężkiej



Opowiadanie

Od trzech dni tkwimy w kolebie w Dolinie Ciężkiej. Pada deszcz. A, żeby tylko padał. Leje.

Tkwimy we trzech w ciasnej kolebie pod kamieniem, Janek Hobrzański, Andrzej Widmański i ja. Z nudów wymyślamy przysłowia o laniu.

„Lejesz z wozu koniom lżej”;

„Baba leje koniom lżej”;

„Darowanemu koniowi w zęby nie lejesz”;

„Kto leje nie grzeszy” ...

A deszcz leje. Mieliśmy ambitne plany, a mamy mokry kibel. Wreszcie odpuszczamy, pakujemy graty i wracamy na łąsą Polanę. Nawet dobrze nie obejrzelśmy gór.

Jakoś nie mam ochoty odpuścić. Koleba jest pod ścianą Młynarzowych Wideł. Z dołu ściana wygląda niepozornie. To złudzenie. Każdy kto trochę chodził po górach wie, że gdy stoimy pod ścianą i patrzymy w górę, mamy wrażenie, że wszystko jest dużo mniej strome, niż w rzeczywistości. Co więcej, wydaje się mniejsze. Mówi się, że „ściana się kładzie”.



Arcydzięgiel litwor nad Ciężkim Stawem. Fot. Krzysztof Łoziński.

Ściana Młynarzowych wideł interesuje mnie dlatego, że według przewodnika Witolda H. Paryskiego jest w niej tylko jedna droga, zespołu Pišek – Harnicek, opisana

jako „Środkiem ściany, skrajnie trudno, techniką hakową”. Skrajnie trudno to według starej skali tatrzańskiej VI. Problem polega na tym, że jest tylko słowny opis, z którego trudno się zorientować, gdzie ta droga jest.

Jednocześnie jest to ściana ciekawa, bo w jej górnej części znajduje się ogromna strefa przewieszona, wychylająca się ponad pion dolnej części na dobre dwadzieścia lub więcej metrów. Zagadka polega na tym, czy ta tajemna droga Piśka prowadzi przez tę strefę, czy ją omija. Bo jeśli omija, to jest o co walczyć.



Profil 400 metrowej wschodniej ściany Młynarzowych Widet widziany z progu Dolinki Spadowej. W górnej części widać ogromną strefę przewieszoną. Fot. Krzysztof Łoziński.

W 1971 roku Janek zaraził mnie robieniem nowych dróg. W tamtym czasie panował w środowisku taternickim dość dziwny pogląd, że „liczą się” tylko powtórzenia, a robienie nowych dróg to dziwactwo. Byłem świeżo po wojsku, po trzyletniej „przerwie w życiorysie”. Wszystko, co robiłem w górach przed wojskiem, to były głównie drogi łatwe, na skałkach reglowych, w otoczeniu Hali Gąsienicowej. Byłem na przykład strasznie dumny z przejścia drogi Dziędzielewicza na zachodniej Kościelca, drogi, umówmy się, takiej sobie. We wrześniu 1971 roku, za namową Janka Hobrzańkiego, zrobiłem z nim swoją pierwszą nową drogę na wschodniej ścianie Mniszka. Nazwaliśmy ją „Śmigło” i wyceniliśmy na VI A3. Przypomnę, że mówimy o początku lat 70. Najwyższym przechodzonym w Tatrach stopniem trudności było VI, w skali tatrzańskiej „skrajnie trudno”, a w skali trudności hakowych A3. Dopiero później powstała „Kurtykówka” wyceniona na VI+. I dopiero później Reinhold Messner napisał książkę „Siódmy stopień trudności” (dziś przechodzi się trudności wyceniane na X+).

„Śmigło” było naprawdę trudne i wzbudziło we mnie ciekawość eksploracji, odkrywania. Rok później robimy drugą wspólną drogę, „Czarne Zacięcie” na Czołówce Mięgusza. To już było z naszej strony świętokradztwo. Zrobiliśmy drogę w ścianie, po której „się nie chodzi”. Dlaczego się nie chodzi? Bo nie. Ale ja już byłem tym „dziwactwem” kompletnie zarażony. Uważałem, że to jest dopiero ciekawe – wytyczać nowe szlaki, a nie dreptać po starych. No i zrobić coś, czego dotąd nikt nie zrobił. A jak coś wydawało się niemożliwe, no to dopiero jest warte zrobienia.

Wyszło na to, że zacząłem zupełnie inaczej rozglądać się po górach. Wręcz obsesyjnie wypatrywałem takich obszarów skały, po których nikt nie łąził. Życzliwi koledzy wnet ukuli teorię, że wspinałem się „na wykaz”. Wspinałem „na wykaz” miało polegać na tym, że złośliwie i podstępnie robiłem jak najtrudniejsze drogi po to, by zostać wymienionym w wykazie najlepszych przejść sezonu. Koledzy, nie zniżając się do mojego poziomu, robili drogi łatwiejsze.

Ale zostawmy żarty. Rok później znów jestem w Ciężkiej, tym razem z „Miśką”, która jeszcze nie była moją żoną, Jankiem Oficjałskim i Mietkiem „Bimonem” Prószyńskim. Doszliśmy do wniosku, że skoro nie wiadomo na podstawie słownego opisu, jak droga Plška przebiega, to trzeba ją przejść i sprawę wyjaśnić. Przecież jedną rzecz z tego słownego opisu wiadomo: gdzie się zaczyna.

Muszę tu wyjaśnić, na czym ten kłopot polegał. O ile schemat drogi, to jest rysunek. Patrząc na schemat i ścianę można dość dokładnie zobaczyć przebieg drogi. Z opisem słownym jest inaczej. Czytamy: wejście w ścianę tu i tu, dalej dziesięć metrów prosto w górę, później na lewo od charakterystycznego bloku, przez przewieszkę w górę i do skośnej rynny... I tak dalej. Spod ściany trudno zgadnąć, który blok jest „charakterystyczny”, a która rynna „skośna”. Łatwo rozpoznamy wedle opisu początek drogi, ale dalej zaczynamy się w ścianie o skomplikowanej budowie

po prostu gubić. W dodatku Witold H. Paryski miał takie swoje ulubione zwroty, jak „popod nastyrmanymi blokami” lub „czym prędeż w lewo”. Konia z rzędem temu, kto wie jakie bloki są „nastyrmane” i co to w skalnej ścianie znaczy „popod” i „czym prędeż”.



„Miśka” przed kolebą w Dolinie Ciężkiej. Fot. Krzysztof Łoziński.

W dolnej partii ściany Młynarzowych Widel znajduje się taki trawiasty kociołek, do którego łatwo się dostać po niezbyt stromych ściankach. Wszedłem z Jankiem Oficjalskim i „Bimonem” do tego kociołka i czytamy opis Paryskiego: „Z prawego końca półki w kształcie litery L”. Gapimy się po skałach i za cholerę nie widzimy takiej półki. Znacznie później okazało się, że Paryski nazywał „półką w kształcie litery L” ten właśnie kociołek.

No więc gapimy się w ścianę i szukamy tej mitycznej półki, nie wiedząc, że właśnie na niej stoimy. W końcu wypatrzyliśmy coś, co od biedy można by uznać za taką półkę. Wiążemy się liną i do roboty. Kompletnie nic nam nie pasuje do opisu, więc wspinamy się „jak puszcza”. Jest zadziwiająco łatwo, najwyżej V-. Coś tu kurde nie gra. W końcu po kilku wyciągach wypycha nas na lewy filar ściany i dalej na trawę. Koniec tej dziwnej drogi.

Przeszliśmy „coś”, ale na pewno nie Piśka. To „coś” jest stanowczo za łatwe i kończy się w łatwym terenie za nisko. Po prostu wyrzuciło nas w bok ze ściany. Ta cała ogromna strefa okapów jest wyżej. Zrobiliśmy nową drogę, ale krótką i łatwą

(później w przewodniku Cywińskiego została całkiem pominięta). Pakujemy graty i wracamy przez Dolinę Spadową do naszej koleby.



„Bimon”, Mieczysław Prószyński, we wschodniej ścianie Młynarzowych Wideł. Fot. Krzysztof Łoziński.

Zostało nam parę dni do końca przepustki, a coś trzeba robić. Ja wymyśliłem sobie prawy filar Ciężkiej Turni, wówczas jeszcze nie przechodzony. Próbuję namówić na to „Miśkę”, ale ona nie ma przekonania. Podchodzimy pod ścianę popatrzeć z bliska. Wygląda to zupełnie łatwo. I nagle „Miśka” strzela mi argumentem typowym dla morskoocznych konsumentów wysokogórskiego piwa Beskid:

- Bo ty chcesz iść na nową drogę, bo chcesz być sławny.

Szlag mnie trafia. Jak takie bzdury plotą w schronisku taternicy nie praktykujący, to kit z nimi, ale żeby coś takiego palnęła moja dziewczyna? Zaczynam tłumaczyć jak chłop krowie na rowie, że w d... mam sławę ze zrobienia łatwej drogi, a zresztą sława to żadna. Interesuje mnie eksploracja, przechodzenie miejsc, w których nikt dotąd nie był, nawet nie dlatego, że nie mógł, tylko nawet dlatego, że nikt nie wpadł na ten pomysł.



„Miśka”, Jadwiga Łozińska, na Żabim Szczycie Niżnym. Fot. Krzysztof Łoziński.

„Miśka” jest zła i w zejściu zadziera nos do góry. Zawsze tak robiła. Jak jej się coś nie podobało, to nie patrzyła pod nogi, tylko w niebo lub w sufit. Ale nie patrzenie pod nogi na piargach kończy się skręceniem nogi w kostce.

No i po problemie. Nigdzie nie idziemy. Kilka lat później filar Ciężkiej Turni przechodzą Zakopiańscy.

Tkwimy w naszej kolebie, a Janek Oficjalski i „Bimon” poszli na drogę Birkenmajera na Nawieszkiej Turni. Wracają wściekli.

- Podejście pod ścianę przez las, stromy las. Pnie się wałą, bździałowy latają, próchno się sypie. Doszliśmy do skały. Stromo krucho i trawiasto. Z prawie pionowej ściany, ze szczelin wyrasta kosówka. Czytamy opis: „Przez kruchą rynnę i kruche przewieszki do trawiastej rynny. Dalej o kruchych stopniach do skośnego zachodu, walka z kosówką, przez kruche ścianki na trawiste półki. Stąd czym prędzej do lasu!” A szlag by to trafił. Zakładamy zjazd i idziemy do domu.

Czasem dobrze jest przeczytać opis przed wyjściem ze śpiwora.

Trzeba wracać, kończą się nam przepustki.



Janek Oficjalski. Fot. Krzysztof Łoziński.

Tu mała dygresja o przepustkach i rozwiązaniach alternatywnych. Rządzący w Polsce i Czechosłowacji komuniści mieli jakiegoś hopla na punkcie granicy. Oba kraje były protektoratami Moskwy i utrzymywanie między nimi

szczelnej granicy nie miało żadnego sensu. Najstarszy incydent z mojego życia związany z granicą pamiętam z wczesnych lat 50 -tych. Miałem może 5 czy 6 lat.

Byliśmy, ja, moja siostra Magda i siostra cioteczna Ala, na wakacjach w Witowie z naszymi mamami, siostrami Danutą i Sabą. Ja byłem najstarszy z dzieci. Poszliśmy polami do takiej kępy krzaków, gdzie rosły maliny. Nieopatrznie w kierunku granicy, ale brakowało do niej jeszcze jakieś 300 metrów, a może nawet więcej. W pewnym momencie usłyszałem koło głowy jakiś dziwny gwizd. Nasze mamy były bardzo zdenerwowane i wracaliśmy prawie biegiem. Dopiero po latach skojarzyłem, że to był gwizd karabinowej kuli. Jakiś pojeb, polski lub słowacki, strzelał do kobiet z małymi dziećmi.



„Bimon”, Mięczysław Prószyński i Ewa Klara Tryjarska, gdy jeszcze nie byli małżeństwem. Mam nadzieję, że „Bimon” nie pogniewa się za to prywatne zdjęcie, ale chcę pokazać, jak wówczas wyglądał, skoro o nim piszę. A poza tym, zdjęcie jest bardzo ładne. Fot. Krzysztof Łoziński.

Pamiętam też z podobnego okresu budkę wartowniczą pomalowaną w białe i czerwone paski na grani Kasprowego, oraz żołnierza z karabinem, który pilnował, by ktoś siadając na grani nie spuścił nóg na słowacką stronę. Ja byłem jeszcze za mały,

by chodzić po prawdziwych górach, ale wiem, że do 1956 roku nie wolno było wspinąć się na szczyty graniczne.

W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych można było już swobodnie poruszać się po granicznych szczytach i graniach. Tolerowano nawet omijanie przeszkód, na przykład trudniejszych odcinków grani, po stronie słowackiej. Od dobrych paru lat można było uzyskać przepustki do tak zwanej strefy konwencji turystycznej obejmującej nie tylko Tatry, ale nawet podtatrzańskie miejscowości, takie jak Smokowiec, a nawet Poprad. Szkopuł polegał jednak na tym, że przysługiwały dwie tygodniowe przepustki rocznie. I oczywiście trzeba było przekraczać granicę na przejściu na Łysej Polanie. My, taternicy, szybko wypracowaliśmy pojęcie „Tatr Polskich rozszerzonych”, czyli mówiąc jaśniej przekraczania granicy na lewo do pobliskich dolin, takich jak Koprowa, Piarżysta, Mięguszowiecka, czy Dolina Białej Wody i jej mniejsze dolinki, w tym Dolina Ciężka. Z czasem Tatry Polskie rozszerzone rozszerzały się coraz bardziej, tak że nawet byłem przez zieloną granicę w Dolinie Kieżmarskiej, tak daleko od granicy, że nawet nikt tam już przepustek nie sprawdzał.

Powodowało to oczywiście swoistą grę ze strażą graniczną polską i słowacką. No i powodowało różne kłopoty. Pierwsza moja przygoda z przepustkami miała miejsce w 1964 roku. Byłem na obozie Stołecznego Klubu Tatrzańskiego w dolinie Kieżmarskiej. Po tygodniu pobytu trzeba było pojechać na Łysą Polanę by podbić przepustki na drugi tydzień. Jako najmłodszy zostałem wystany z tą misją w imieniu całej grupy. Poszedłem w dół doliny do szosy z Tatrzańskiej Łomnicy, na przystanek Bela Woda i czekam na autobus. Przyjeżdża autobus z tablicą Łysa Polana, wsiadam, a kierowca mówi: „Ne jedem, do Ždiaru jedem”. Kolejny autobus, to samo. I kolejny. I kolejny... Szlag by to trafił, „ne jedem, do Ždiaru jedem”. Panowie po prostu skracali sobie trasę, bo na Łysą Polanę był tylko jeden pasażer, czyli ja. Jasne, koniec września, po sezonie. W końcu któryś się zlitował, ale zrobiło się już dosyć późno.

Załatwiłem sprawy z przepustkami i chcę wracać. W rozkładzie jazdy są autobusy co pół godziny, ale jednego nie ma, drugiego nie ma, trzeciego nie ma... No jasne, „ne jedem, do Ždiaru jedem”. W końcu słowacki pogranicznik się nade mną zlitował, gdzieś zadzwonił i autobus przyjechał. Tylko zrobiło się już całkiem późno. Wsiadam na przystanku Bela Woda i jest już ciemno. Autobus odjechał i konstatuję, że nic nie widzę. Jest pochmurna pogoda, las, a ja nie mam latarki. Myślę sobie, że droga do Bryncalowej Chaty jest dosyć szeroka, więc nawet po ciemku jakoś się dowlokę. Byłe tylko niedźwiedzie się nie czepiały. Wydaje mi się, że widzę jakby jaśniejszą smugę drogi i idę.

Na początku, jakoś się wlokę, potykając się na wybojach i nagle: łup! Przydzwoniłem głową w drzewo. Cholera, chcę je ominąć po prawej, a tu drugie drzewo. Po lewej, też drzewo. A z tyłu, a jakże... drzewo! Kurna Indianie, jestem w lesie, w zupełnych ciemnościach. Nie widzę nic.



16-letni Krzysztof Łoziński pod ścianą Jastrzębiej Turni. Ze mną są Stanisław Gryniewicz i Aleksander Kiwerski. Wrzesień 1964. Fot. Bożena Jesionkiewicz.

Przesiedziałem w lesie do rana zaledwie jakieś dziesięć metrów od drogi. To była dla mnie naučka, by zawsze wychodząc gdziekolwiek w górach brać latarkę.

Rok później, razem z ratownikiem Tadkiem Figusem, sprowadzałem ze Świnicy parę młodych ludzi, którzy poszli oglądać romantyczny zachód słońca i, podobnie jak ja rok wcześniej, nie skojarzyli, że w górach nie ma latarni i po ciemku jest ciemno.

O innych przygodach innym razem, ale o przygodzie, jaką miał w Dolinie Ciężkiej Janusz Hierzyk opowiedzieć trzeba. Spał sobie smacznie w śpiworcu, w tej samej kolebie, w której i my pomieszkivaliśmy. Był sam. Nagle budzi go słowacki „Bespah”, czyli funkcjonariusz Bespiecenstwa Statnih Hranic. Też jest sam. Natychmiast orientuje się, że Janusz jest tu nielegalnie. Odbywa się taka rozmowa:

- Pudete ze mną.
- Ne pude.
- Bude strelat! – i wyciąga pistolet.
- A strzelaj, kto ci uwierzy, że ci w śpiworze uciekałem.

No i Słowak odpuścił. Strzelać nie może, sam go nie zanieśie, a jak pójdzie po pomoc, to Janusz się zmyje. Wypalili po papierosku i każdy poszedł w swoją stronę.

Ale wracajmy do naszej opowieści. Wróciliśmy do Morskiego Oka, limit przepustek na ten rok wyczerpaliśmy. Ale „problem” kusił nas nadal.

Miesiąc później idziemy, ja i Janek Hobrzański, do Doliny Cichej. Tym razem przez zieloną granicę. Z ciężkimi plecakami pełnymi sprzętu do hakówki (po co najmniej 15 kilo na łba) pniemy się ścieżką na Żabią Przełęcz Wyżnią. Dalej na Żabi Szczyt Wyżni i kruchymi turniczkami granią w kierunku Rysów, aż do miejsca, w którym można zejść do Dolinki Spadowej. To jedno z najrzadziej odwiedzanych przez ludzi miejsc w Tatrach. Jeśli ktoś nie przekracza tędy granicy, to nie ma żadnego interesu, by to miejsce odwiedzać. Nie ma tu żadnego szlaku turystycznego, a i taternicy nie mają tu czego szukać. Pełno tu nor świstaków, dosłownie co kilka metrów. Niektóre świstaki stoją w słupka i obserwują nas z odległości kilkudziesięciu metrów.

Z progu dolinki zjeżdżamy na linie, tuż koło ściany Młynarzowych Wideł. To stałe rozwiązanie. Na bloku zjazdowym jest już kilka starych pętli zostawionych przez poprzedników. Z tego progu oczywiście można zejść, ale zjechać łatwiej i szybciej.

Wchodzimy na żywca do tego kociołka w dole ściany Młynarzowych Wideł. Mamy ambitny plan zrobienia drogi przez to potężne przewieszenie, ale najpierw trzeba do niego dojść, a nie jest to proste. Ta ściana jest trudna już od początku, a weszliśmy w nią dosyć późno. Normalnie zaczyna się duże wspinaczki o bladym świcie, ale zaczęliśmy dodreptać tu z Morskiego Oka minęło parę godzin. Jest koło południa.



Janek Hobrzański na jednym z pierwszych wyciągów naszej drogi. Fot. Krzysztof Łoziński.

Pierwszy wyciąg jest w miarę łatwy, ale na tym limit łatwego terenu został wyczerpany. Janek prowadzi wznoszący się trawers w zupełnie pionowej ścianie i przewija się za żeberko. Kolej na mnie. Spora pionowa płyta z wymyciami typowymi dla skały na Młynarzach. To taka pofalowana skała, kompletnie bez szczelin. Trudności są „jak cię mogę”, ale trudno coś wbić. Trochę z niepokojem patrzę, że

mam 10, 15, 20 metrów od ostatniego haka. Jakby co, to 40 metrów lotu. Nareszcie szczelina. Nie najlepsza, ale osadziłem małego simonda. Lepsze to niż nic. Janek dochodzi do mnie i prowadzi następny wyciąg. Idziemy jeden, lub dwa wyciągi taką skośną ni to zatupą, ni to kominkiem. Robi się późno.

Nie ma wątpliwości, że noc spędzimy w ścianie. Wypatruję wąską, ale wygodną półkę i trawersuję do niej w prawo. I to był błąd, ale o tym przekonamy się dopiero rano.

Włazimy na tę półeczkę. I, jak to w tamtych czasach, siadamy na d..., zawijamy się w anoraki i siedzimy do rana. Nie jest specjalnie wygodnie, więc spanie kiepsko nam wychodzi. Rozmawiamy, palimy papierosy. Zimno (jesień), czyste niebo, piękne gwiazdy. Na wprost nosa charakterystyczny Orion.

Rano jest piękna pogoda i szybko rozgrzewa nas słońce. To w końcu wschodnia ściana. I tu objawia się błąd. Wieczorem trawersując na tę półkę przeszedłem przez pierwszą półeczkę (a mogłem na tym poprzestać) i wdrapałem się na drugą, trochę wyżej. Rzecz w tym, że skała między nimi była zupełnie gładka, ale złapałem za trawę z wyższej półki i wlałem. Janek wszedł tak samo, ale w ostatniej chwili niechcący strącił nogą część tych trawek. No i rano okazało się, że do naszego kominka nie mamy jak wrócić. Trzeba by zejść zaledwie dwa metry, ale skała jest gładka, jakby kto otynkował. Ani jednego chwytu, ani jednaj szczeliny. Nawet zjechać tam nie ma z czego.

Jesteśmy, tak na oko, w jednej trzeciej ściany. Zepchnęło nas w prawo. Do łatwej drogi prawym filarem mamy blisko, jakiś 40 metrów. Postanawiamy wycofać się na filar, skończyć nim drogę i za kilka dni wrócić. Może to w nienajlepszym stylu, ale jesteśmy nie tu, gdzie chcieliśmy, jesteśmy zmarznięci i zmęczeni. Noc prawie nie przespana.

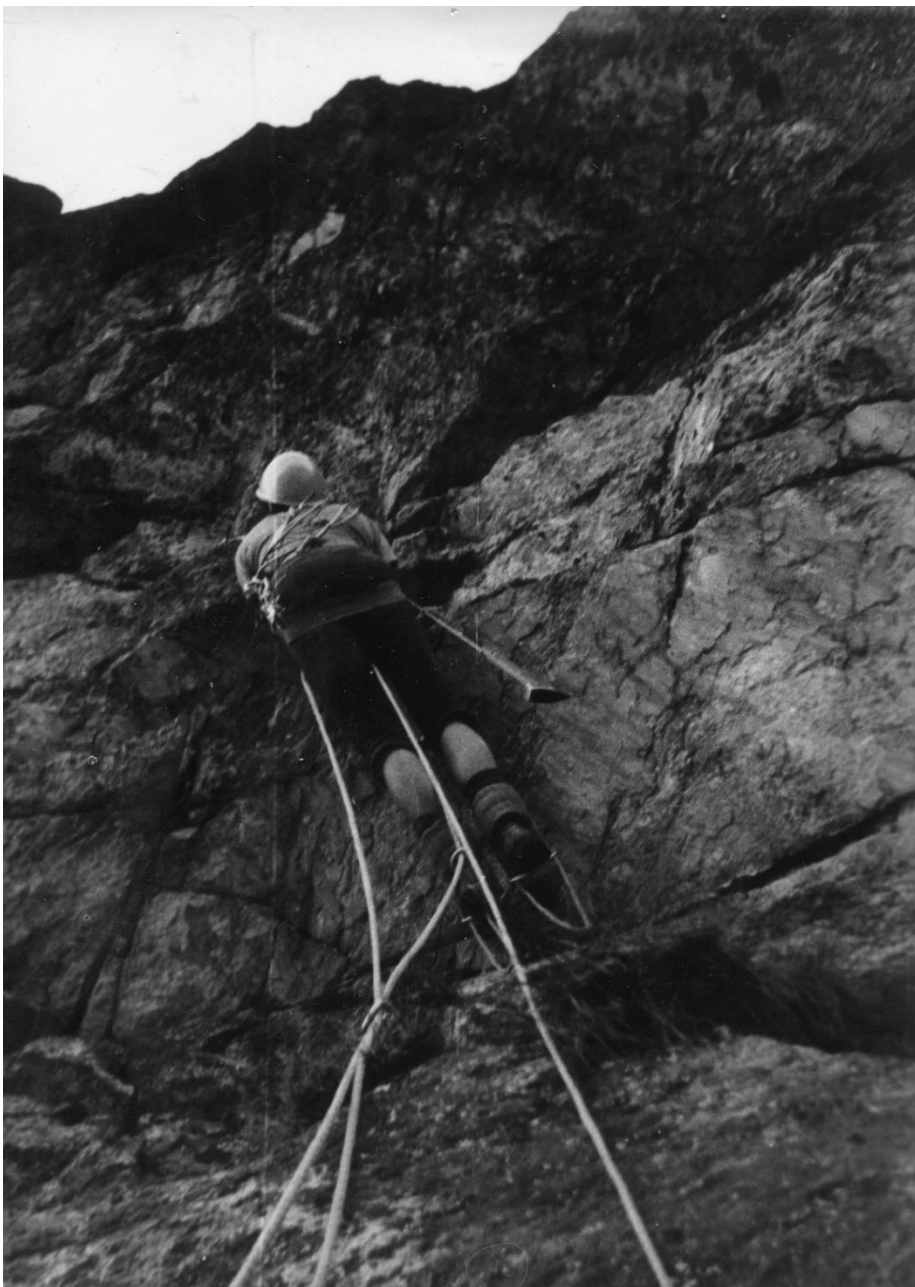
Zaczynam trawersować w prawo do filara. W pewnym momencie zawisam na obu rękach trzymając się sporego wystającego bloku. I nagle ten blok dosłownie się rozpada na drobne kawałki. Lecę jakieś 15 metrów. Właściwie nic mi się nie stało. Trochę tylko stłukłem tyłek o stoma płytę.

Janek opuszcza mnie na półkę poniżej i sam do mnie zjeżdża na linie. Wycofujemy się do żlebu na prawo od ściany. Wypalamy papieroska, pakujemy graty i idziemy do domu. Tak samo, jak przyszliśmy, przez Dolinkę Spadową i Żabi Wyżni.

Wracamy po kilku dniach. Oczywiście tą samą drogą przez zieloną granicę. Podchodzimy prawym filarem do miejsca naszego wycofu i trawersujemy na naszą nieszczęsną półkę. Tuż nad nią znajduje się kilka poziomych okapików o wysięgu około metra i oddzielonych od siebie metrowymi odstępami. Takie schody do góry nogami. Janek prowadzi wyciąg przez to stadko okapów. Dalej idzie przewieszonym żeberkiem. Repsznur, który za sobą ciągnie wisi coraz dalej od ściany. Teren zaczyna być potężnie przewieszony.



Ja w żlebie, po wycofaniu się ze ściany. Papierosek dla odreagowania 15-metrowego lotu.
Fot. Jan Hobrański.



Seria okapów nad naszą półką. „Schody do góry nogami”. Fot. Krzysztof Łoziński.

Kończy mu się lina i mówi, abym podszedł, bo nie ma gdzie założyć stanowiska. Wychodzę ponad te okapiki, te schody do góry nogami i znajduję dość duży stopień w dolnej części przewieszonego żeberka. Nie mam z niego dużego pożytku, bo skała nad nim jest przewieszona i wypycha. Chcąc nie chcąc opieram na nim nogi, ale i tak wiszę na hakach w uprzęży.



Janek Hobrzański na przewieszonym żeberku. Na prawo od niego, na tle nieba krawędź okapu, po której wytrawersowaliśmy w prawo. Wyżej nad nim strefa przewieszona, przez którą poprowadziłem kilka lat później wariant prostujący. Fot. Krzysztof Łoziński.

Janek idzie cały czas techniką hakową. Dochodzi do lewej części sporego okapu. I zaczyna tuż nad jego krawędzią trawers w prawo. Ten trawers jest dość osobliwy. Janek wbija haki ponad krawędzią okapu, ale wisi w ławeczkach pod nim w powietrzu, daleko od skały. Znow kończy mu się lina, a na stanowisko w takim miejscu nie ma ochoty. Wcale mu się nie dziwię.

Znowu podchodzę i teraz mam już zupełnie wiszące stanowisko. Nawet nogami nie sięgam do skały. Gdy w końcu docieramy do prawego filara, robi się już ciemno. Dzisiejszą turę czujemy w kościach. Prawie sto metrów ciągłego przewieszenia. Gdy wisiąłem na stanowisku asekurując Janka z nudów liczyłem okapy w tej wielkiej strefie przewieszonej. Wyszło mi 36. Oczywiście wszystkich, z prawej, z lewej, wyżej i niżej. Oczywiście żadna, nawet najbardziej ambitna droga, nie będzie wiodła przez wszystkie.

Jest jasna noc, księżyc. Wspinamy się na szczyt nie używając latarek. Teren na filarze jest dużo łatwiejszy. Nie pamiętam o której godzinie byliśmy na szczycie. Wracamy do Morskiego Oka.

Po powrocie do Warszawy wysyłam opis do „Taternika” (publikujemy go także we „Wspinku”).

Ku mojemu zdziwieniu w „Taterniku”, w ocenie sezonu ukazuje się dość osobliwa notatka napisana prze „Barona”, Andrzeja Skłodowskiego. „Baron” pisze:

„Kilka dróg – to rozwiązania problemów tak szczątkowych, że odnotować je należało wyłącznie z kronikarskiego obowiązku. Zaliczyłbym do nich nie tylko nieistotne warianty na ścianie czołowej filara Mięguszowieckiego Szczytu (T. 4/73 s. 179), ale także [...] nowe warianty na drodze prawym filarem wschodniej ściany Młynarzowych Wideł. [...]”

Oślupiałem. Nasza cholernie trudna droga 400 metrową przewieszoną ścianą, prowadząca w dużej części terenem mocno przewieszonym, z trudną hakówką, której na prawdę nie każdy by podołał, to „warianty” do znacznie krótszej i nie porównanie łatwiejszej drogi prawym filarem. To fakt, łączy się z prawym filarem, ale na ostatnich 50-60 metrach od wierzchołka. Na dodatek te „nieistotne warianty” na Czołówce Mięguza, to nie mniej, ni więcej, tylko „Czarne Zacięcie”, także moja droga, którą do dziś może przejść nie każdy i nie zaraz. W 1982 roku, Ryszard Malczyk i Zbigniew Czyżewski (absolutne gwiazdy) wycenili jej trudności na pierwsze w Tatrach VIII (osiem!). Jednym słowem, cholernie trudne drogi są „wariantami” do dróg dużo, dużo, łatwiejszych. To tak, jakby w Warszawie nazwać Marszałkowską „nieistotną przecnicą” do ul. Wilczej albo Wisłę nazwać dopływem Dunajca.

[Ja wyceniłem naszą drogę na VI A3-, Janek na V+ A2, ale on zawsze miał skłonność do zaniżania trudności. Wysokość ściany jako jedyny zmierzył z użyciem GPS Włodzimierz Cywiński na 395 m, pozostałe oceny są „na oko”]

Nie wiem, co się „Baronowi” stało, bo przecież był człowiekiem rozsądnym i taternikiem doświadczonym, ale chyba miał jakąś przerwę w myśleniu. Zresztą później przez wiele lat się przyjaźniliśmy.

Napisałem list do redaktora „Taternika”, Józefa Nyki, który był dla mnie autorytetem. No i zaczęło być śmiesznie.

„Baron” umówił się ze mną na rozmowę. Gdy do niego przyjechałem, na kanapie, oprócz „Barona”, siedział nieznanym mi facet, taki bardzo duży mięśniak atleta. Rozśmieszyło mnie to.

Nie wiem, dlaczego wielu ludzi myśli, że jak ktoś trenuje sporty walki, to będzie ich bił. Ja oczywiście miałem już umiejętności (10 lat treningu i czarny pas), by nawet największego mięśniaka w ciągu kilku sekund pozbawić przytomności, ale nigdy nie byłem agresywny. Nigdy w dyskusjach czy sporach, nie używałem argumentu siły. Przez całe życie nikogo nie zaatakowałem, nikogo pierwszy nie uderzyłem (poza ringiem oczywiście). Przez całe życie, poza ringiem i treningiem,

użyłem pięści trzy razy: uderzyłem napastnika, który wcześniej uderzył mnie w twarz kastetem; uderzyłem gościa, który grożąc nożem chciał mi ukraść samochód i uderzyłem oraz rzuciłem na tai otoshi nożownika, który dźgnął (niecelnie) mojego kolegę nożem w szyję. Każdego z tych panów przekazałem policji (dwóch pierwszych po ocuceniu).

Drugi raz miałem podobną sytuację, gdy znajoma dziewczyna, z którą miałem rozliczenia finansowe, przyszła też z takim mięśniakiem, a ja oddałem jej kasę, która byłam jej winien, zaś mięśniaka poczęstowałem kawą. Bez mięśniaka też bym jej oddał, a gości traktuję grzecznie. Z mięśniakiem „Barona” też się przywitałem i podałem mu rękę.

Pokazałem „Baronowi” schemat drogi i zdjęcia, a także zdjęcie ściany z wrysowaną drogą. Pokazałem mu też mapę Tatr z poziomcami, z której wprawdzie nie można było dokładnie określić wysokości ściany, ale na pewno można było stwierdzić, że ma ponad 300 metrów, a nie 150, jak on twierdził. Zaprosiłem go także na letnią wycieczkę pod Czołówkę, by zobaczyć, co to jest „Czarne Zacięcie”.

Rozstaliśmy się w zgodzie, a w kolejnym numerze taternika ukazało się sprostowanie jego autorstwa. To jest najlepszy przykład, że łatwiej spór rozstrzygnąć kulturalnie, a nie awanturując się.

Po naszym przejściu czułem pewien niedosyt, że w ostatniej części uciekliśmy w prawo, zamiast pociągnąć dalej w górę. Niestety w 1974 roku ostro pokłóciłem się z Jankiem, do tego stopnia, że dalsza współpraca stała się niemożliwa. To osobny temat, więc go teraz pomnę, ale jeśli chciałem drogę dokończyć, to już musiałem to zrobić z kim innym.

Padło na „Miškę”, ale wybraliśmy się tam dopiero w 1976 roku. Moi znajomi pamiętają ją jako straszłą panią, mocno schorowaną, ale wówczas, rok po naszym ślubie, była 31-letnią szczupłą dziewczyną i całkiem niezłą taterniczką. Miała już za sobą na przykład nasze wspólne przejście Direttissimy Kazalnicy i parę krótszych, ale równie trudnych dróg.

Poszliśmy do Cichej tym razem legalnie, przez Łysą Polanę. Jediną metodą dostania się do miejsca, w którym w 1973 roku wytrawersowaliśmy do prawego filara, było podejście tym właśnie filarem. To kilka dodatkowych, ale niezbyt trudnych wyciągów. Tym razem nie groziło nam zbyt późne wejście w ścianę, bo mogliśmy spokojnie przenocować w kolebie i wyruszyć rano.

Budzimy się jeszcze przed świtem, jemy śniadanie. Plecaki spakowaliśmy jeszcze wieczorem. O szóstej rano zaczynamy się wspinać. Nieco po dziewiątej dochodzimy do miejsca, w którym kończył się trawers. Wcześniej umówiliśmy się, że ja będę prowadził trudniejsze wyciągi. To racjonalne. Jestem silniejszy i bardziej doświadczony, będę w razie kłopotów mógł jej pomóc dociągając liną z góry.



„Miśka” rano ogląda ścianę sprzed koleby. Fot. Krzysztof Łoziński.

Przechodzę w drugą stronę trawers nad okapem i docieram do miejsca, w którym trzy lata temu dotarliśmy najwyżej. Miejsce nie jest zbyt dobre na stanowisko. Podchodzę więc kilka metrów w górę, cały czas hakowo. Tu jest krótki odcinek, na którym skała nie jest przewieszona. Zakładam stanowisko dla „Miśki”.

Celowo nie pod samymi okapami, bo wtedy byśmy się nie słyszeli, gdy wyjdę nad okap.



Powiększony fragment zdjęcia z pierwszego przejścia drogi. Janek Hobrzański znajduje się w miejscu, w którym zaczyna się mój i „Miśki” wariant prostujący, prosto w górę przez okapy nad nim. Widać, że nie jest to jeden okap, tylko trzy kolejne. I, że łatwo nie puści.

„Miśka” dochodzi do mnie i zaczyna asekurować. Ruszam w górę. Pierwszy okap ma dość skomplikowaną budowę. Z dołu wygląda, jakby tkwiły w nim wielkie ruchome bloki, ale wcześniej obejrzałem to z pewnego dystansu i wiem, że to złudzenie. Przechodzę go sośnie w lewo i tu rozczarowanie. To, co z dołu wydawało się odcinkiem pionowym między okapami, też jest przewieszane. Idę teraz skośnie w prawo, taką szeroką rysą pod przewieszoną trójkątną płytą. Wyprowadza mnie w pionowy teren pod kolejnymi okapami. Zakładam stanowisko i ściągam „Miśkę”.

Miejsce jest niesamowite. Luft jak w samolocie. Lina, którą używamy jako repsnur, wisi ponad 10 metrów od ściany. Atakuję kolejny okap. Chciałem iść prosto w górę lub nieco w prawo. Z obserwacji ściany wiem, że tam jest strome pionowe zacięcie. Może nawet nie jest pionowe. Ale teren spycha mnie w lewo na płytę

zakończoną kolejnym okapem. Dochodzę pod ten okap i zakładam stanowisko. W pewnym momencie hak wypada mi z ręki i leci w dół. Leci i leci. Uderza dopiero w płyty w dolnej części ściany, dobre 250 metrów niżej.



Wychodzę z okapu. Fot. Jadwiga Łozińska „Miśka”.

Wybór jest prosty, w górę jak puszcza. Ostatni okap jest spory, ale nad nim już niebo. I nie więcej jak 60 metrów do szczytu, już bez przewieszenia. Stajemy na szczycie o zachodzie słońca. Byłoby piękne barwne zdjęcie, ale mamy czarno-biały film.

Tak się prosto mówi: przechodzę okap. Tylko to nie jest proste. Człowiek wisi w ławeczkach pod sufitem nie mając żadnego punktu oparcia. Trzeba się w uprzęży i ławeczkach położyć niemal poziomo, by jak najdalej sięgnąć i wbić kolejny hak w szczelinę. A i to wbijanie czegoś w sufit nie jest proste. Zużywa się dużo więcej siły niż w terenie pionowym. A i przejście na kolejny hak to niezły cyrk. Wtedy jeszcze nie znaleźliśmy giętkaczki, bo wymyśliłem ją kilka lat później. A więc trzeba przepiąć jedną ławeczkę do kolejnego haka i przepiąć tam linę. Następnie odpinam się od haka, na którym wiszę. Zawisam na ugiętej lewej ręce, łapę się następnego haka prawą i stawiam prawą nogę w drugiej ławeczce. Przechodzę na nowy hak praktycznie wisząc na jednej ręce. Przepinam drugą ławeczkę i muszę, w dużym stopniu na rękach, unieść się i wpiąć do haka uprzęży. Na rysunku z podręcznika to ładnie wygląda, ale pot się leje i „buty” puchną z wysiłku.

Schodzimy do Dolinki Spadowej już po ciemku. Ten krótki w sumie odcinek zajął nam prawie cały dzień. Nie muszę chyba tłumaczyć, że wiszenie w powietrzu pod okapami w nawet najwygodniejszej uprzęży biodrowej przez parę godzin, nie jest nawet zbliżone do komfortu. A my mieliśmy jeszcze wtedy uprzęże samoroby z taśmy na samochodowe pasy bezpieczeństwa. W 1976 roku zachodni sprzęt był dla nas nieosiągalny.

Wspomniałem o wynalezieniu giętkaczki, więc wypada wyjaśnić co to jest. Przed tym przechodzenie z jednego haka na drugi wymagało używania dużej siły, bo trzeba było dociągnąć się jedną ręką i karabinkiem przy uprzęży wpiąć się do haka. Wpadłem więc na pomysł, że można by mieć linkę o regulowanej długości z karabinkiem na końcu i wpinać się tą linką na luzie, a następnie unosząc się na nogach ją skracać. Trzeba było jednak wymyślić prosty i niewielki patencik do skracania linki. Udało mi się wymyślić przyrząd nie większy jak 3x4 cm i niezawierający żadnej ruchomej części. Dziś wszyscy używają giętkaczek, a nikt już nie pamięta, kto to wymyślił. A patent ten zmniejsza wysiłek o 90%.

Dziś wzmiankę o giętkaczce znajdziecie nawet w Wikipedii:

pl.wikipedia.org/wiki/Hakówka,

ale nie ma tam wzmianki, kto ją wynalazł. Dodam jeszcze, że nazwę „giętkaczka” wymyśliła „Wilma”, Irena Dębowska. Dziś przyrząd ten produkuje wiele firm, pod różnymi nazwami i jak zwykle jedynym, kto nie zarabia na wynalazku, jest jego autor.

Wysłałem opis naszego wariantu do „Taternika”, ale się nie ukazał. Redaktor Józef Nyka wyjaśnił mi, że w zasadzie nie publikuje opisów krótkich wariantów. Tak więc, publikuję informację o tym przejściu po raz pierwszy, po 47 latach.

Dlaczego nie opublikowałem w innych pismach alpinistycznych. Bo w 1976 roku praktycznie ich w Polsce nie było. A poza tym bardzo dużo w moim życiu zaczęło się dziać. Pojechałem na wyprawę w Hindukusz, na której omal nie straciłem życia. Kierownikiem tej fatalnej wyprawy był dziwny człowiek, który był uczestnikiem i

nawet kierownikiem wielu wypraw z PZA i PKG, a nie wszedł nigdzie i nie miał też żadnego dorobku tatrzańskiego. Ale to już osobna historia, którą opisałem w książce „Ślady na śniegu”.

Post scriptum:

Zwracam uwagę, że to jest opowiadanie, a nie sprawozdanie. Opisuję rzeczy tak, jak pamiętam (po 47 latach). Opis naszego wariantu jest literacki, a nie techniczny. Jedyne opisy techniczne mogą być gdzieś w archiwum „Taternika”, o ile takie istnieje.

W relacji Jana Hobrzańskiego, Mieczysław Prószyński i Jan Oficjański byli ze mną w Dolinie Ciężkiej w 1974, a nie 1973, co ma wynikać z notatek Mieczysława Prószyńskiego. Z moich notatek wynika coś innego. Zapewne nigdy nie będzie to rozstrzygnięte, bo pozostali uczestnicy tej wycieczki, Janek Oficjański i „Miśka”, już nie żyją. Na szczęście okoliczność ta nie ma większego znaczenia.

Z tego co wiem, problem direttissimi Młynarzowych Wideł, przez strefę największego przewieszenia, nadal jest nierozwiązany.